

KURIER WARSZAWSKI

Rok VII. Nr 1.

Styczeń 1973

Co dwa medale, to jednak nie jeden! • Nokaut w telewizji • Orkiestra Pułku Grenadierów Franciszka Józefa • Najweselsza Bolesć świata • Panie Słonimski, czy można bez mrzonki? • Pięć lat „Egidy”, czyli kabaret jedyny • Hanuszkiewicz już nie szykanują! • „Antygona” rozpisana na 3 pokolenia.

KARNAWAŁ W WARSZAWIE! Na parkiecie nie szaleję od lat, nie wiem nawet, czy i gdzie odbywają się w stolicy karnawałowe bale; czasem tylko, w telewizji, dojrzę jak w brzęku kieliszków zasłużonego toastu dekorują kogoś na **Balu Mistrzów Sportu**, gdzie tam przeczynam o Balu Rajdu Monte Carlo. Czyli, krótko mówiąc, wynikałoby z tego, że głównie bawią się sportowcy, ale może po prostu bawią się najgłośniej i stąd to wrażenie?

Nawiasem mówiąc, między mistrzami sportu, a raczej między ich zwolennikami, walka poszła w tym roku ostro: czy doroczny plebiscyt na najlepszego, wygra Woyda czy Komar? Warszawa podzieliła się na dwa obozy, z mną, stosunkowo mniej zainteresowanym, pośrodku. Za jednym przemawiał fakt nie notowany dotychczas w dziejach naszego sportu: 2 złote medale na jednej olimpiadzie! Za drugim fakt nie notowany również: złoty medal w kuli, która dotychczas zawsze była domeną Amerykanów (z odchylemiami co prawda, lecz nie w naszą stronę)! Woydzie grali w Monachium hymn dwa razy, ale w mniejszej sali, Komarowi raz, lecz na głównym stadionie, argumenty przemawiały i za tym i za tym, ostatecznie **Woyda okazał się lepszy**: co dwa medale, to jednak nie jeden! A na pociechę, Komarowi pozostało zwycięstwo w telewizyjnym pojedynku z Dąbrowskim i Łazuka. Też nieźle.

Zresztą zarówno Komar jak i Łazuka wygrali **przez nokaut!** — z telewizją. Ktoś, kto wpadł na pomysł, by po zmaganiach dwu takich dżentelmenów jako nagrodę wręczyć... telewizor, powinien kontakt z telewizją zachować już tylko poprzez taki właśnie telewizor „Neptun”, w domowym zaciszu. Ostatecznie nie trudno się domyślić, że ludzie choćby tylko średnio sytuowani, telewizory już u nas posiadają, więc, niby co — mają iść go sprzedać? Postawił sobie w mieszkaniu dwa i urządzić tele-stereo?

Oczywiście, że w karnawałowej zabawie nieważna jest nagroda, ale nawet symboliczny prezent można (i chyba trzeba) obmyślić z garstką dowcipu i sensu; obaj świętni (w swych specjalnościach) zawodnicy w miły i zgrabny (choć złośliwy) sposób, pouczyli o tym telewizję.

W karnawałowy nastrój podłączyło się także warszawskie Muzeum Techniki, urządzając okolicznościową ekspozycję: „Od fonografu do automatu muzycznego”. Zgromadzone ciekawe i zabawne stare gramofony, urocze sprzęty o kształcie znacznie piękniejszym i szlachetniejszym od dzisiejszych adapterów, tyle, że o brzmieniu raczej kiepskim. Na wernisażu można to było sprawdzić, puszczono bowiem w ruch owe maszyny i ze złotych, metalowych, drewnianych lub nawet skórzanych (model podróżny!) tub popłynęły głosy Carusa, Kiepur, Faliszewskiego, a także trąby Orkiestry Pułku Grenadierów cesarza Franciszka Józefa, w dwu upojnych,

wiedeńskich (rzecz jasna) walcach... Cóż za wspomnienia!

Cóż za wspomnienia! W Starej Prochowni przy ulicy Bolesć (przepraszam za tak smutny adres w karnawale, ale wierzę jest to najzabawniejsza Bolesć świata!), otóż w Starej Prochowni, **Wojciech Siemion opowiada** „Jak to było naprawdę”. Tekst Antoniego Słonimskiego, adresowany do Antoniego Słonimskiego: **Panie Słonimski, ja panu powiem, jak to było naprawdę... Stałem przed komisem na Mokotowskiej, więc byłem od samego początku i potem prawie przez cały czas. Panie Słonimski, niech pan nie wierzy w to, co oni pisali w gazetach...**

Zdarzenie, jakie Siemion opowiada Słonimskiemu do jego własnymi słowami (a jest tych słów sporo, półtorej godziny czystego gadania, zresztą znakomitego), aczkolwiek osadzone, jak się to mówi, w warszawskich realiach, operujące nawet takimi konkretnymi jak hotel „Bristol”, Jabłonna-Wawer, Irenka Dziedzic, profesor Hryniewiecki i Pałac Kultury, dotyczy — mówiąc najogólniej — tego, nad czym zastanawiają się ludzie w świecie nie od dziś i na ogół zastanawiają sceptycznie. Co by to mianowicie było, gdyby teraz, w naszą codzienność i w nasz sposób myślenia **zjechał na małym osiołku mężczyzna, można powiedzieć, nawet przystojny, ale trochę mizerny, jak po chorobie, ubrany w coś w rodzaju szlafroka albo tureckie sakpalto.**

Jak wynika z tego, co Siemion ma Słonimskiemu do zreferowania, byłoby ciekawie, niemniej nie najlepiej, bo to i brak zrozumienia i niemałe zarzuty pod adresem **Wiadomej Osoby**, a i z Jej strony pewne rozczarowanie. — **Powiedz pan mi tylko jedno, pod hajtem, ja nikomu nie powtórzę: Czy warto było się dać tak męczyć z powodu ludzkości, gdy pan pierwszy raz zawitał na tak zwany padół? — To on się spojrzał na mnie dużymi, smutnymi oczami i powiedział po hebrajsku: — Kto mówi warto? Wypluj pan to słowo...**

Spektakl Siemiona odbywa się pod patronatem „Szpilek” co naturalnie gwarantuje jego dowcip i

wdzięk. Warto jednak dodać, że daje nam również coś więcej: poezję i wzruszenie. Szczególnie zresztą wzruszający był wtedy, gdy przy jednym ze stolików Starej Prochowni zasiadł sam Antoni Słonimski (77 lat, forma, że daj nam Boże!) i Siemion już nie do wielkiego portretu ustawionego na scenie, lecz do samego oryginału skierował swoją opowieść, swoje żale o to, że naśmiewają się z niego, iż **jestem z tego pokolenia, co czeka cudu i żyje mrzonką.** — **No, dobrze, ale ja się pytam, panie Słonimski, ja się pytam, czy można żyć zupełnie bez mrzonki?**

Znakomity monodram, bo tak to zdaje się określa, znakomity zarówno w samym tekście jak i w jego podaniu. Już sam fakt, że Siemion, bestia, potrafi powiedzieć na pamięć całą książeczkę (w wydaniu PIW-u, „Jawa i mrzonka” zajmuje 30 stron) jest dość szokujący, a to, że potrafi ją powiedzieć tak, jak mówi w Prochowni, zakrawa na wydarzenie!

Wydarzeniem jest także, jeśli już jesteśmy w karnawale, po tej zabawniejszej stronie stolicy, **pięciolecie kabaretu „Pod Egidą”**. W małej salce przy ul. Rutkowskiego (ma się ją teraz podobno powiększać — oby, bo obecnie dostanie się „Pod Egidą” jest surrealistycznym wyცieniem), działają jak zwykle: Jan Pietrzak, Jonasz Kofta, Jan Stanisławski, z jednym dodatkowym: Kazimierzem Rudzkiem, a także panie: Krafftówna i Okuniewicz oraz Siemion (znowu Siemion, ale wyjątkowo, z okazji jubileuszu) i zespół muzyczny Paska.

Od dawna uważałem, że „Egida” jest naszym najlepszym kabaretem. Po obejrzeniu jubileuszowego programu trochę zmieniłem zdanie. Nie jest wcale najlepszym, jest jedynym. Nie ujmując w niczym zasług programom kabaretowo-estradowym, wśród których bywają znakomite (jak „Dudek”), słabsze i dęto-pretenjonalne (większość obecnych kabaretów i teatrzyków studenckich), powiedzmy sobie szczerze, że jedynie „Egida” daje dziś nie tylko prawdziwie kabaretową satyrę w dawce nie 1:50 (jeden dowcip na 50 tekstów), lecz mniej więcej 45:50 (45 dowcipów na 50 tekstów), lecz daje także prawdziwie kabaretową atmosferę.

Mała, zatłoczona do niemożliwości salka, absolutna naturalność i bezpośredniość wykonawców, złączenie w jedno autorów i interpretatorów, wreszcie autentyczna improwizacja, odwołująca się niejednokrotnie do tego co działo się dziś, przed paru godzinami w telewizji, w radiu, na mieście, przejrzyste aluzje, czy wręcz docinki pod adresem niejednej z osób siedzących na sali...

Na spektaklu, na którym byłem dostąpiło się — pośrednio — ministrowi

Trepczyńskiemu, który prosto z sesji w ONZ przybył na sesję „Pod Egidą” i — bezpośrednio — Januszowi Głowackiemu; skomentowano mianowicie ad hoc jego głośny już w kraju fakt zdjęcia majtek na plaży w Chałupach (— *Pan Głowacki nie jest jeszcze w tak trudnej sytuacji, aby musiał zwracać na siebie uwagę!* — grzmiał Stanisławski).

Pietrzak, podsumowując pięciolecie „Egidy” dość nieskromnie podkreślił, że w ciągu tych pięciu, jakby nie było, pięknych lat przetrwania, autorom „Egidy” napisano już sporo entuzjastycznych recenzji i zrobiono sporo zdjęć. Z okazji jubileuszu, chciałbym ze swej strony życzyć im w następnym pięcioleciu, jeszcze więcej entuzjastycznych ocen. Bo zdjęcia, oczywiście, też robią dobrą reklamę, ale jednak co słowo to słowo! Wszystkiego dobrego.

A jeśli już o kabaretach mowa, to odnotujmy otwarcie **nowej sali teatralnej w Warszawie**: Teatru Małego. Mieści się pod kinem „Relax”, z dojściem — niestety, nieprzyjemnym, poprzez Dom Towarowy („Junior”). Salka jest — wypisz wymaluj — idealna dla kabaretu. Trochę piwnica, z czerwoną cegłą, trochę nocny lokal, z podświetlanymi na czerwono płytkami, z bardzo wygodnymi fotelami i dobrą akustyką. Foteli jest podobno 270, tyle — ile wystarcza dla dobrego kabaretu lub... ambitnej sztuki.

Teatr Mały oddano w służbę sztuki. Czy ambitnej — nie wiadomo dokładnie, bo trudno coś mówić po jednej premierze; tak czy inaczej przybyła Warszawie bodaj dwudziesta sala teatralna, a Teatrowi Narodowemu — druga scena. W ten sposób zerwano wreszcie z dyskryminacją dyrektora Hanuszkiewicza; drugie sceny mieli już przecież od dawna: dyr. Krenz (Teatr Wielki), dyr. Holoubek (Dramatyczny), dyr. Warmiński (Ateneum), dyr. Kowalczyk (Polski), dyr. Axer (Współczesny), nawet dyr. Jarecki (Rozmaitości i STS), no i dopiero teraz sprawiedliwości stało się zadość!

Na premierze w Teatrze Małym, spotkała się na widowni cała mała Warszawa (niestety mała, tylko 270 miejsc), natomiast na scenie — spotkały się trzy pokolenia aktorów: Kazimierz Opaliński (82 lata!), Adam Hanuszkiewicz (48 lat) oraz Anna Chodakowska i jej koleżanki i koledzy (IV rok warszawskiej Wyższej Szkoły Teatralnej). Pokazano nam „Antygona” Sofoklesa, graną w garniturach, dżinsach, minispódniczkach i swetrach, nawet — przez chwilę — bez swetrów, co jednemu z recenzentów nasunęło myśl, iż jest w tym coś z polskiego „Hair”.

Nic bardziej fałszywego! Siłą i zwycięstwem „Hair” była spontaniczność, żywiołowość, absolutna naturalność na scenie (obojętne w tej chwili jak wielką pracą i ćwiczeniem osiągnięta); słabością i porażką studenckiej „Antygony” jest sztuczność, nadęcie, kukielkowość młodych ludzi. W „Hair” wszyscy wydają się aktorami (choć przecież aktorów jest w spektaklu zaledwie dwóch). W „Hair” wszyscy jedynie mówią lub śpiewają, w „Antygonie” — Antygona krzyczy właściwie bez przerwy...

Zresztą — nie idzie przecież o bezsensowne porównania. Idzie po prostu o to, że pierwsza premiera Teatru Małego (przeniesiona ze spektaklu dyplomatycznego PWST, reżyserowanego przez Hanuszkiewicza), nie jest najszcześniejsza, że broni się w niej właściwie tylko muzyka Macieja Maleckiego. Doskonała, a chwilami — znakomita!

No cóż, gdy będziecie (jeśli będziecie) to czytać, Teatr Mały wystawi już swoją drugą premierę: „Zabawę w koty” z Ireną Eichlerówną. I na nią czekamy z najwyższym zainteresowaniem!

Lucjan Kydryński



Na tradycyjnym Balu Mistrzów Sportu ogłoszono wyniki plebiscytu „Przeglądu Sportowego” na 10 najlepszych polskich sportowców w 1972 roku. Na zdjęciu od lewej: Witold Woyda, Wojciech Fortuna, Jan Szczepański, Kazimierz Deyna, Zygmunta Smalcerz, Irena Szydłowska i Antoni Zajkowski podczas uroczystości. Na zdjęciu brak Władysława Komara, Józefa Zapędzkiego i Jana Wróblewskiego, którzy nie mogli przybyć na uroczystość. (Fot. CAF — Urbanek).